

WITOLD MACKIEWICZ

## PŁACZ CZY ZGRZYTANIE ZĘBÓW?

Każdy, kto usiłuje wnieść do kultury swój osobisty i istotny wkład, jest zmuszony do nieustannej kontroli swojej działalności, do ustawicznej samooceny i porównywania własnych wyników z próbami innych przedstawicieli tej samej profesji, do poszukiwania coraz lepszych rozwiązań w zakresie formy, treści i temu podobnych. Twórca pragnie wiedzieć, co sprawia, iż jedne dokonania są wybitne, zaś inne — mierne, jakie są kryteria doskonałości w ogóle, a jaka jest miara perfekcji w określonej dziedzinie twórczości, na czym polega w niej postęp, a na czym regres? Ale od czasów kiedy ustalono, że podstawą kultury są takie wartości jak prawda, dobro i piękno, nie uzyskano ostatecznej czy jednomyślnej opinii o sensie owych pojęć; z pożytkiem dla kultury, której rozwój, między innymi, polega właśnie na nieustannych próbach odnalezienia pełniejszych treści znaczeniowych tychże wartości.

Twórcy, w zależności od temperamentu i jakościowej skali samokrytycyzmu, ocenę własnej działalności przeprowadzają na różne sposoby: jedni ciągle doskonalią rozpoczęte dzieła; inni — w zaciśnięciu własnego laboratorium niszczą płody nieudane i podejmują kolejne próby; jeszcze inni decydują się na wybory radykalne i zmieniają obszar zainteresowań. Ale są i tacy, którzy publicznie dewastują swoje wytwory, albo, wobec szerokiego audytorium, od nich się odżegnują, co czasem bywa aktem szczerej skruchy i uznania popełnionych błędów. Niekiedy jednak są to akty popełniane przy starannie dobranej publicznej oprawie, celem uzyskania rozgłosu. Takie odruchy są źle zagranymi demonstracjami udawanej pacholejczy bezradności, mającymi na widzach wywrzeć wrażenie, że oto twórca, po przeprowadzeniu samooczyszczenia, wzniósł się na nowy, bardziej uduchowiony i subtelny etap rozwoju czy szczybel wtajemniczenia.

Polskie środowisko filozoficzne z podobną próbą spotkało się ostatnio ze strony Bohdana Chwedeńczuka, który zdobył się na krótki akt samoudręczenia, zrodzony z uprawiania filozofii („Studia Filozoficzne” 1985, nr 4). W ślady Chwedeńczuka poszedł Stefan Sarnowski, piszący obok *O militariach w filozofii*.

Cięgi, jakie Bohdan Chwedeńczuk sobie zaaplikował, znacznie

zaważyły na jasności myślenia: autor chciał prawdopodobnie w ten sposób wykazać, że sposób uprawiania filozofii jakiemu hołduje, może prowadzić tylko na manowce. Bo oto, po kilkudziesięciu latach zajmowania się filozofią, stwierdza, że:

1. Filozofia jest zajęciem nie posiadającym swojego przedmiotu.
2. Nie jest wiadome, jak i na podstawie jakich metod filozofię można uprawiać.

3. Dlatego nie mogą być i nigdy nie będą znane jej wyniki.

Autor tej wypowiedzi, jako filozof, obwieścił światu, że nastał moment, w którym należy powiedzieć: nie tylko ja niczego nie wiem, ale też nikt inny nie ma prawa wiedzieć czegokolwiek.

Za chwilę jednak ten sam autor zamienia się w wyrocznię. Niczego o filozofii nie wiedząc, nie znając jej przedmiotu i kryteriów jej rozwoju orzeka, iż nastąpił jej całkowity uwiąd: fenomenologia uległa zwyrodnieniu, marksizm nigdy nie był filozofią, a jedynie doktryną strojącą się w pozory uczoności, pozytywizm i filozofia analityczna — ugrzęzły w czymś cuchnącym (symptomatyczną oznaką braku odwagi i asekurantstwa zarazem jest pominięcie neotomizmu).

Mamy więc do czynienia z klasycznym przykładem wewnętrznej szarpaniny kogoś, kto uświadomiwszy sobie, iż zmarnował życiową i zawodową szansę, drze na sobie szaty i rzuca je w tłum jako relikwie, podczas gdy są to nic nie znaczące szmatki. Bohdan Chwedeńczuk postanowił samego siebie własnoręcznie ukrzyżować, wołając: spójrzcie, tak ginie i wysycha filozoficzny skądinał intelekt. Was, o przekłęci, spotka to samo, przecież nie mogę ginąć sam!

\*

Stefan Sarnowski postanowił spacyfikować filozofię, po drodze rozprawiając się z regulaminami szkolenia wojskowego wszystkich armii świata. Pisze oto, że komendy wojskowe bywają konstruowane bez respektowania reguł gramatycznych, chociaż nie popiera tej obserwacji żadnym przykładem. Pomija także tak prosty i oczywisty fakt, że wiele komend przekazuje się za pośrednictwem znaków wizualnych i akustycznych, gdzie reguły gramatyczne odgrywają niewielką rolę w skrótach myślowych formułowanych do natychmiastowego wykonania. Utrzymuje ponadto, że dla ludzi normalne i naturalne jest jedynie mówienie. Pytam więc, w jaki sposób ewentualny dowódca pododdziału Stefan Sarnowski, przekazałby podwładnym „mówioną” komendę doskonale zrozumiałą dla wszystkich żołnierzy? I dlaczego krzyk, szep, śmiech, płacz czy jęk nie są naturalnymi formami ekspresji ludzkich uczuć i myśli czy formami komunikacji, a jedynie „mówienie” pełni takie funkcje? Już wstępna i w zamiarze

autora efektowna argumentacja na rzecz odmilitaryzowania filozofii i życia społecznego, jest zlepkiem zabawnych i naiwnych dywagacji.

Sarnowski przypomina, że niegdyś filozofom chodziło o „miłowanie” wiedzy tak, jakby nie był świadom tego, iż to, co obowiązywało w starożytności jako wytwór kultury, nie musi w tej samej postaci obowiązywać dzisiaj, niezależnie od tego, czy będziemy mówić o obowiązkach uczonych czy hodowców warzyw. Ocierając się o banał należy także przypomnieć, że nawet w czasach „miłowania” wiedzy była ona niezwykle skutecznym narzędziem sprawowania władzy.

Czytelnika tekstu Sarnowskiego musi dziwić, a zdziwienie to graniczy z osłupieniem, dlaczego Stefan Sarnowski, filozof drugiej połowy XX wieku, nie widzi semantycznej różnicy między obroną na polu walki zbrojnej i obroną w grze w szachy, atakiem na uzbrojonego wroga i atakiem na bramkę przeciwnika w grach sportowych, że utożsamia *Obrońcę Sokratesa* i inne tego typu rozprawy — z obroną przed napaścią agresora? Pragnąc oczyścić filozofię z ataków, walki, obrony, zagrożenia i temu podobnych, sam przeprowadza atak na jakiegoś przeciwnika, wedle niezbyt wyszukanych i zięjących duchem nietolerancji, metod zwalczania strony przeciwnej prezentującej inne poglądy niż on sam. Ponadto własnych też nie potrafi wyrazić inaczej, jak tylko korzystając właśnie z odrzuconych przez siebie terminów „militarnych” (defensywa, kombatanci i tak dalej).

Dlaczego podobne wystąpienia jak manifesty Bohdana Chwedeńca z u k a i Stefana Sarnowskiego — mimo wszystko — bywają publikowane? Czy nie lepiej byłoby je wrzucić do redakcyjnego kosza, wzniesić ramionami, przemilczeć? Nie—ponieważ owe wypowiedzi odzwierciedlają bólaczki naszych kolegów filozofów. Pisząc dają oni wyraz nadziei, że ich dyskusyjny, kontrowersyjny głos w istotnej dla nich kwestii — nie będzie głosem ostatnim.